

Maria Ejzen

Pytasz mnie o rok 1968. Dziwię się, że nic nie wiesz, a potem przypominam sobie, że miałaś wówczas zaledwie 8 lat. Tak, przeżyłam „owego” roku różne straszne historie, ale dziś opowiem ci inną historię.

W marcu 1968 r., tak jak z większością Polaków pochodzenia żydowskiego, stało się ze mną coś dziwnego: poczułam się znowu tylko Żydówką, i poczułam się Żydówką „ściganą”. Bałam się gazet, radia, telewizji, a w końcu, po raz drugi w życiu, bałam się ludzi. Chciałam zejść do schronu, ale schronów, kryjówek za szafą już nie było. Staralam się żyć, tak jak żyłam dotychczas, z trudem, ale żyłam. Był to czas, do tego „upiornego” marca 68 r., dla mnie szczęśliwy: byłam młoda, wesola, miałam córeczkę, męża, których bardzo kochałam. Miałam dom w Koninie, gdzie była Mama i Niania, białe krochmalone obrusy, kwiaty w każdym pokoju, psy, koty. Miałam dużo przyjaciół! Tak: był to środek mego życia i byłam szczęśliwa: także praca sprawiała mi satysfakcję, moja grupa przyjaciół była cudowna. Wśród nich była Halina, bez której żyć nie mogłam. Piękna, subtelna, dobra. Wokół niej i jej przyjaciela, nazwę go Adolf, gromadzili się ludzie, którzy bardzo mi imponowali, pisarz, dyplomata, no i sam Adolf, wzięty dziennikarz. Jego związek z Haliną, pełen wzlotów i upadków, był mi bardzo bliski. Byłam przy niej, gdy Adolf kochał ją nad życie, szalał, nawet próbował odebrać sobie życie, i wówczas, kiedy nastąpił finał jego uczuć, a słowa miłości zastąpiły... rękocizny. Mieszkał u Haliny w jej mieszkaniu i trzeba było zebrać jakieś dowody jego brutalności, aby móc ewentualnie wystąpić o eksmisję. Halina ze dwa razy poszła do lekarza, miała opisane przez niego obrażenia, a tak zwane „obdukcje” przyniosła do mnie do biurka, abym je przechowała. Bała się, że Adolf znajdzie je i zniszczy. Tak być mogło, bo zniszczył już jakieś jej dokumenty. Zaświadczenie lekarskie spokojnie leżało u mnie, a Halina raz mówiła, że jest jej bardzo dobrze, a drugi raz, że jest źle. Nie wtrącałam się już do ich życia, czas płynął, a oni byli wciąż razem.

Muszę tu dodać, że w czasie naszych wspólnych towarzyskich spotkań nie padło o mnie słowo „Żydówka”. Znasz mnie, i wiesz, że nigdy nie ukrywałam tego, że nią jestem. Ale był to czas, te lata szczęśliwe, kiedy naprawdę nikt z nas ani ja sama — nie myślał takimi kategoriami. Byliśmy wszyscy młodzi, zafascynowani kinem, książkami, naszym życiem w końcu. Nic nas nie dzieliło, a wszystko z pozoru łączyło. Piliśmy tanie wino, śpiewaliśmy, wyjeżdżaliśmy za miasto. Adolf rzadko ze mną w ogóle rozmawiał, wiedział, że jestem powiernicą Haliny i to go ode mnie odgradzało.

Z początkiem 1968 r. zaczął oddalać się od nas, spotkania stały się rzadsze, a na początku

marca 68 r. zupełnie ustały. Czytałam jego artykuły w „Sztandarze Młodych”, „Walce Młodych” i czułam taką pustkę i trwogę, że sama przed sobą się nie przyznawałam, że go znam. Z obrzydzenia nawet nie mogłam myśleć o nim. Halina też nie kontaktowała się ze mną. Już było po marcu 68 r., już groza była wokół, już mój mąż został odsunięty w pracy od ważnych spraw, już moje dalsze zatrudnienie wisiało na włosku, gdy zadzwoniła Halina, że zaraz, już, musi się ze mną zobaczyć. Byłam w bardzo złym nastroju. Poprzedniego dnia w nadrzędnej jednostce wyrzucono wszystkich Żydów. Jedna z tych osób, wspomniała pani, matka wielkiego polskiego tłumacza, powiedziała, oddając legitymację: „a nad moim grobem i tak będą rosły polskie wierzby, a nie palmy, jak chcecie”. Powtarzałam te słowa, gdy szłam na spotkanie z Haliną. Chciałam się przed nią wypłakać, zwierzyć. Chciałam, aby mnie pocieszyła...

Halina była spięta, sztywna, patrzyłam na nią w milczeniu. Co może mi powiedzieć w te dni, chyba „jestem z tobą”. Muszę przyznać, że dużo ludzi mi tak mówiło. Halina powiedziała: „Marysiu, musisz mi zaraz oddać moje zaświadczenia lekarskie, bo Adolf mówi, że ty jesteś syjonistką i możesz je przekazać wywiadowi izraelskiemu, a Adolf jest teraz na wysokim stanowisku i możesz mu bardzo zaszkodzić”. Nie uwierzysz, ale zaczęłam się strasznie śmiać i tak, śmiejąc się, uświadomiłam sobie, że absolutnie nie wiem, gdzie mam te „obdukcje”.

Powiedziałam bardzo spokojnie Halinie, że oczywiście jutro jej przyniosę, „nie ma sprawy”. Jest już po południu, biuro zamknięte, nie mogę tam wejść. Już nie podałam jej ręki, ale spokojnie odeszłam (to była kawiarnia „Mirowska”, nigdy już tam nie byłam po rozmowie z Haliną). Zadzwoniłam do męża, że idę do biura, było wczesne popołudnie, przebłągałam portiera i weszłam do swego pokoju. Usiadłam i zaczęłam szukać. Początkowo bez emocji przeszukałam biurko, szuflady, papiery, książki — bez skutku. Potem jeszcze raz od początku: biurko, szuflady, dokumenty, książki... Po północy przyjechał mój mąż, on sam zaczął szukać. Bez skutku. Zdawałam sobie sprawę, i nie była to histeria, że niedostarczenie Halinie i Adolfowi zaświadczeń lekarskich może mieć dla mnie bardzo tragiczne skutki. Może jako szpieg izraelski zostanę zaraz aresztowana, a może „tylko” wyrzucona z pracy, z Polski?

Zrobiło się już jasno, trzecia nad ranem, mąż powiedział wracamy, dziecko jest samo w domu, trudno, będzie co ma być. Zaczęłam zbierać papiery, wzięłam książkę, którą miałam już przedtem kilka razy w ręku — z książki wypadły zaświadczenia lekarskie Haliny. Nawet nie poczułam ulgi, tylko straszne zmęczenie, smutek, gorycz.

Wzięliśmy te dwa papierki i pieszo poszliśmy na Elektoralną. Paliły mnie te „obdukcje” żywym ogniem, nie mogłam czekać do rana.

Pamiętam jak długo dzwoniliśmy do bramy, jak wściekły „cieć” w końcu nas wpuścił, weszłam na III piętro i zadzwoniłam do drzwi.

Otworzyła Halina. Ostrożnie, żeby jej nie dotknąć, bez słowa podałam zaświadczenia i zesłam na dół. Po prostu odwróciłam się i odeszłam. Zdaje mi się, że w tej chwili odeszłam bardzo daleko od mego dotychczasowego życia, od tylu lat dobrych, od pewnych ludzi.

III 94

O narodzonych i nienarodzonych

Marysia napisała w swoim życiorysie przygotowanym dla „Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu”: „Ludzie różnie myślą i reagują na przeżycia wojenne. Ja powiedziałam sobie, że nie będę miała dzieci, aby ich nie narazić na to, co sama przeżyłam”. Marysia, rocznik 1935, mieszkała z rodzicami we Lwowie, na imię miała Ruth. Przyszła wojna, getto, ucieczka przed śmiercią na „aryjską stronę”. Gdy rodzice z nią ukryli się w jakiejś skrytce, okazało się, że Ruth strasznie kaszle. Kaszle, więc może narazić na śmierć wszystkich ukrytych. Znalaziono polską rodzinę i pospiesznie oddano tam dziecko. Miała wówczas 5 lat. Uciekła natychmiast z tego bezpiecznego miejsca do rodziców, ale nie mogła z nimi zostać. Zabrano ją ponownie i przekazano w inne ręce. Już nie mogła uciec. Tak strasznie tęskniła za rodzicami, że całymi godzinami, nocami waliła głową o ścianę. Pięcioletnia niedoszła samobójczyni otrzymała aryjskie imię Marysia, powoli przyzwyczaiła się do swojej nowej skóry. Być może wówczas już pomyślała o tym, że inne dziecko, jej przyszłe dziecko, nie może nigdy być narażone na takie cierpienia. Po wojnie, przez wszystkie lata swojej młodości i lata dojrzałe, patrząc na koleżanki rodzące i wychowujące dzieci, była wierna tej decyzji. Pozostała sama.

* * *

Inna dziewczynka, też Marysia, w innym getcie w ten czas zagłady, idąc z matką na selekcję pomyślała tak samo. Wiedziała, że jej matka miałaby większą szansę przeżycia gdyby nie ona, jej córeczka, którą trzymała za rękę. Marysia była dwa razy skazana na śmierć: raz jako Żydówka, a drugi raz jako dziecko.

Ta dziewczynka też przeżyła wojnę. Jest czas pokoju, ona jest piękna, młoda, błyszczą

inteligencją, wdziękiem, na studiach i w życiu towarzyskim. Nie zakłada rodziny, wszystkich odtrąca. Pozostaje sama z wyboru, mówi do przyjaciół: „nie zniósłabym myśli, by moje dziecko mogło być narażone na zgubę. Nie rodząc go chronię je przed światem. To moja największa ofiara jako matki, nigdy nią nie będę”.

Jedno z największych poświęceń, na jakie stać człowieka: wobec swego lęku nie tworzyć nowego życia.

* * *

A ze mną było zupełnie inaczej: ja chciałam z determinacją moich 19 lat mieć dziecko. Kogoś bliskiego, kogoś z mojej krwi i kości, mojego krewnego!

Dopiero po latach zdałam sobie sprawę, że ja, urodzona pod złą, żółtą gwiazdą, dam nie tylko życie dziecku, ale i przekazę mu dziedzictwo Holocaustu. Gdy wyszłam za mąż, hożą, wesołą Maryśką, zaszłam w ciążę, czułam się taka szczęśliwa! Nie dane mi było mieć tego dziecka. Urodziło się przedwcześnie i umarło. Malutki czarny chłopczyk, otworzył oczka, westchnął i odszedł. Potem poronienia, badania, różne męczarnie u lekarzy i w szpitalach. Zawsze ten sam finał: jakiś zły sen, jakiś smutek i wyjąca karetka wiezie mnie do szpitala. Wreszcie diagnoza: nerwica powodująca samoistne poronienia. „Pani nie będzie mieć dzieci”, powiedział profesor R., patrząc obojętnie na moją rozpacz. „Z pozoru wszystko u pani i męża w porządku, ale Pani...”

Płakałam, ale nie zrezygnowałam. Zaszłam jeszcze raz w ciążę i położyłam się do łóżka; leżałam 6 miesięcy. Moje czarne warkocze posiwiały, moje ciało przybrało 30 kg. Leżałam, czekałam na dziecko i doczekałam się. Co za radość! W nocy wstawałam, zapalałam świeczkę i patrzyłam na córeczkę. Obcięłam warkocze (fryzjer nie chciał tego zrobić, powiedział „nie przyczynię się do takiej „zbrodni”) i zanurzyłam się w normalności macierzyństwa. Brałam wózek z dzieckiem i szłam do parku, już nie sama, z moją córeczką! Gdzieś tam na dnie mego serca uśpiłam wojenne demony. Zamknęłam wszystkie strachy, wspomnienia na sto zamków. Ale to nie pomogło! Gdy mała odeszła z piaskownicy na moment, ja błada, roztrzęsiona, ze strachem w oczach pędziłam, aby ją odnaleźć. Wystarczyło, że było Święto Zmarłych, a my nigdzie się nie wybierałyśmy i już było inaczej niż u innych „normalnych” ludzi. Dziecko pytało: gdzie jest dziadek, wujek, kuzyni, dlaczego wszyscy umarli i gdzie są ich groby, dlaczego ty nie chodzisz do kościoła tak jak inne mamy, dlaczego u nas nie wisi krzyż...

Lawina „dlaczego” osaczała moją rzekomą normalność, wywazała zamknięte drzwi do mojej przeszłości, byłam inna, a moja córka była córką innej.

Gdy szła do koleżanki, czekałam na nią w oknie, przerażona, rozhisteryzowana, jeśli spóźniła się choć trochę. Schodziła zawsze ze mną do piwnicy, bo „mamusia nie może sama”. (Jeszcze nie czas było jej opowiadać, że dla mnie piwnica, to getto, nietoperze, choroba, a wreszcie śmierć, której uniknęłam przez przypadek.) Już milcząco godziła się na te nerwice, dzwoniła od koleżanek, że się spóźni, albo mówiła, że przyjdzie później niż zamierzała, nie pytała dlaczego w święta nie ma krewnych, już nie chciała kupować zniczy na nieistniejące groby, nie mówiła o tym, że inaczej jest w domach jej koleżanek. Mogłam się na niej oprzeć, ale czy jest szczęśliwa? Czasem myślę, że nie jej przecież winą jest mój „kacet syndrom”, a ciężar z nim związany spadł na jej barki i trwa. Los nałożył na nią obowiązek udziału w moich nerwicach, depresjach, uczestnictwo w tym świecie umarłych, do którego należę. Czy nie jest egoizmem, że dzielę to z nią?

* * *

Inna zaś młoda kobieta urodziła córkę, która ją znienawidziła. Znenawidziła za jej błyskotliwość i inteligencję, którą oddała pisarstwu o Holocauście. Za żydowski los, którego nie chciała dzielić ani zrozumieć. Nie aprobowała niczego, co robiła matka, nie chciała słyszeć o tym co przeżyła; nie chciała widzieć jej koleżanek, opowiadających ciągle o getcie i zagładzie oraz oglądających z płaczem filmy omijane przez normalnych ludzi — te o obozach, gettach, prześladowaniach. Uważała za dziwaczne, że koleżanki jej matki kupowały za ostatnie pieniądze zamiast sukien książki o tej tematyce. Ona, córka, chciała być normalna, a mogła nią być tylko odrzucając matkę. Matka była czuła, dobra, poświęcała się dla córki, trzeba więc było użyć największej brutalności a nawet okrucieństwa, żeby ją odsunąć. Matka rozpaczała, ale im bardziej córka ją raniła, tym bardziej czyniła za to winną siebie i starała się jej pomóc. Aby ją pocieszyć, jedna z Maryś opowiedziała jej bajkę: „Syn pewnej kobiety zakochał się. Jego wybranka zażądała dowodu miłości: serca matki. Syn zabił matkę, wyjął serce i biegł z nim do ukochanej. Potknął się i upadł, a serce zatroskane zapytało: syneczku, czy nie potłukłeś się czasem...”

Matka złej córki, ta mająca troskliwą córkę i te dwie od nienarodzonych dzieci spotykają się czasem i zastanawiają, jak by postąpiły, gdyby dane im było jeszcze raz wybierać swój dorosły los. Żadna nie wie czy zrobiła dobrze... czy w ogóle dobrze się stało, że przeżyły?

Pewna historia z marca 1968 r.

Wpisany przez Aaron Baranowski, Londyn – Wielka Brytania
Wtorek, 17 Listopad 2020 00:00 -

V 94

Aaron Baranowski, Londyn – Wielka Brytania